

Justyna Hankus

DOBRANOC,
EUROPO

14 opowiadań wewnętrznych



powergraph

Warszawa 2026

Copyright © 2026 by Justyna Hankus
Copyright © 2026 by Powergraph
Copyright © 2026 for the cover by Justyna Hankus, Jan Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Projekt graficzny okładki: Jan Kosik
Ilustracje na okładce i w książce: Justyna Hankus
Skład i łamanie: Jan Kosik

Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: +48 22 834 18 25
powergraph.pl
powergraph@powergraph.pl



Wyłączny dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
dressler.com.pl
dystrybucja@dressler.com.pl

ISBN 978-83-68599-22-0
Nr 20260506/BZ/W1/01
Druk: Białostockie Zakłady Graficzne SA
Printed in Poland, EU



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury

Dla przyjaciół z młodych lat

WIEŻA, W POŁUDNIE

Taras od przepaści oddziela gruba szyba, umocowana na metalowych tralkach. Poniżej jest dach z ceramicznych dachówek, jeszcze niżej kolejny, a dalej za wąskim pasmem ulicy można dostrzec czeluść rozpadliny, która niknie w półcieniu rozlewającym się na ostrych skałach, porośniętych z rzadka suchą trawą i kikutami opuncji.

Dna nie widać; tylko czarny i czarniejszy cień, gęstniejący w miarę patrzenia. Nad koronką skał błyszczy w słońcu morze. Z lewej i prawej strony od tarasu wypiętrzają się wysokie i nagie skały, obejmujące Pueblo de la Luz. W dzień są białokremowe, wieczorem wpadają w fiolet. Pod szczytem skały z prawej strony widać głuchy kościół, ciemniejszym kamieniem wpisujący się w krajobraz.

W południe oślepiające słońce zawisa ponad tarasem, wycinając w morzu biały fantom, od którego bolą oczy. W takich chwilach, gdy żar oblewa dzień, słowa stają się gęste.

— Tutaj czaszka Jorge spadła z tarasu i odbijając się od dachów poniżej, przetoczyła przez skały i wpadła w morze — powiedziała Marianna, pokazując ręką.

— Zmysłasz — odparła Rosa i ziewnęła.

Marianna zdjęła biustonosz i położyła się na hamaku, do połowy ukrytym pod dachem.

— Ugotujesz się tu — odezwała się znowu Rosa. Podeszła i podała jej wodę z lodem.

Marianna spojrzała pod światło na jej sylwetkę. Dotknęła ciepłego brzucha, zjechała palcami niżej, w zagłębienie między nogami.

Rosa schyliła się i pocałowała ją w usta.

— Idę się zdrzemnąć.

— Spadała z wizgiem, obtłukując się o dachówki.

— Przestań...

W przejściu między domami spał dziad. Zakutany w szmaty, podniósł się rano i zabrał torby.

— Widziałem — powiedział do Marianny, gdy z marchwią wyszła przed drzwi.

Na podeście niżej wygrzewały się koty, na najniższym w misce moczyła się stuła. Fioletowy haft puszczał kolor, a ksiądz ubrany tylko w podkoszulek i bokserki przeklinał zakonnice, które wyhaftowały fioletowe winogrona.

Przeście między domami wiodło zygzakami w górę i w dół, schody wyłożone żółtymi płytkami miały wyoblone i poprzecierane stopnie.

— Dziś już nie pójda — powiedziała Rosa. — Może jutro.

— Lubię kozy. — Marianna trzymała marchew za nać; ugryzła.

— Możemy wyjść na skały, tam je znajdziemy.

Nie było daleko. Najpierw schodkami w górę, potem na drogę. Roztopiony asfalt zaczynał śmierdzieć gorącą smołą. Nad nim, ściśnięty w wąskie pręgi, upał tworzył wzdłużne fatamorgany. Powietrze brzęczało nieznośnie.

Dotarli do końca drogi i weszły w szerszą rozpadlinę zbocza. Zaczęły się wspinać jedyną ścieżką na płaski szczyt, posiekany uskokami. Na górze kozy skubały suchą trawę, obojętne na słońce i ludzi.

Marianna wysunęła rękę z marchewką przed siebie.

— Taś, taś. — Babka tak wołała na kaczkę, ale to było jedyne zaklęcie, jakie Marianna pamiętała.

Zwierzęta nie chciały się zbliżyć. Żuły zapamiętały, patrząc czujnie na kobiety. Marianna kucnęła, Rosa stała na skraju szczytu i wpatrywała się w morze.

Po chwili jedna z kóz, szara, zastrzygła uszami, zabczała i stukając raciczkami, podeszła skosem do Marianny, ustawiając się do niej bokiem.

— Taś, taś — szepnęła kobieta, próbując jej dotknąć.

Koza wysunęła do przodu brodę, rozchyliła wargi i nieznanym, skromnym gestem dotknęła czubka marchewki.

Naraz Rosa wydała z siebie stłumiony okrzyk i cofnęła się gwałtownie w ostatniej chwili, przed dużym czarnym koźlem, który wyskoczył nagle, wzniecając tuman kurzu. Kozy, mecząc, rozpierzchły się na wszystkie strony.

Koziół, o czarnej lśniącej sierści przysypanej skalistym pyłem, schylił łeb i zaszarżował na Mariannę. Ta wstała, a zwierzę uniosło się na tylnych nogach i przebijając przednimi racicami, szło, a raczej tańczyło przed Marianną.

— Cały świat twój. — Marianna pozwoliła, by zbliżył się do niej i podała mu marchewkę. Koziół jednak nie sięgnął po warzywo, obszedł Mariannę, a potem zagroził jej jedyne bezpieczne zejście ze szczytu.

W końcu opadł na cztery kopyta.

Stał ze spuszczonego łbem, wpatrując się w kobietę. Powieka nad jego lewym okiem drgała nerwowo. Poziome źrenice wycinały w żółtych tęczęwkach czarne prostokąty. Było cicho, nawet pomruk morza osłabł.

— Co mam zrobić? — odezwała się Marianna.

— Może... — zaczęła Rosa.

Marianna postąpiła w prawo, koziół nie drgnął. Wobec tego obróciła się bokiem i zaczęła iść przed siebie, chcąc obejść zwierzę. Gdy wydawało jej się, że się uda, koziół podskoczył w miejscu na sztywnych nogach i znowu znalazł się przed Marianną.

Ksiądz wykręcił stułę, ściekała fioletową wodą na żółte płytki obojścia. Potrząsnął nią i powiesił na słońcu na barierce.

— Pójdiesz po chłopców — odezwał się do smagłego nastolatka, który żując źdźbło trawy, siedział na dachu.

— Już? — zapytał chłopiec.

— Za chwilę — odparł ksiądz i wszedł do domu.

Taras wyżej zaszurały czyjeś kroki i z czarnej czeluści drzwi wynurzyła się starowinka w wełnianym czerwonym swetrze otulającym garbate plecy. Zaczęła schodzić mozolnie po schodach, macając stopami kolejne stopnie. Koścista, upstrzona plamami ręka zaciskała się na żelaznej poręczy. Kobieta to pojawiała się w słońcu, to znikwała w gęstym cieniu, kiwając się na boki.

— Ja już idę — mruknęła, mijając dom księdza i chłopca na dachu.

— Gdzie mama idzie? — rozległ się męski głos z tarasu wyżej.

— No idę już — odpowiedziała kobieta.

— Ale dziesiąta dopiero — odrzyknął mężczyzna.

Staruszka machnęła niecierpliwie ręką, zeszła z ostatniego stopnia i ruszyła roztopioną drogą przed siebie.

— Ciasto mama wzięła? — krzyknął jeszcze mężczyzna, ale kobieta go nie usłyszała. W pełnym słońcu rozłożyła szyfonową chustkę, którą nałożyła na głowę i zawiązała pod brodą.

Droga wiodła zakrętami w górę, zbierała mniejsze przydomowe dróżki jak zlewisko rzeki małe potoki. Przed domami dało się słyszeć ruch i nawoływania; trzaskały drzwi, stukały garnki. Spłoszone koty uciekały spod nóg, chowały się po piwnicach, na dachach. Psy, niespokojne tą krzątanią, biegały za ludźmi tam i z powrotem. Na tarasach siedziały kobiety w białych halkach i czesały nawzajem swoje włosy. Mężczyźni pastowali buty, mrużąc oczy od słońca. Starcy siedzieli przed domami już ubrani w pachnące naftaliną czarne garnitury i kapelusze. Tu i tam obok nich stały gotowe

dzieci, dziewczynki w sztywnych, koronkowych sukienkach, chłopcy w drapiących marynarkach. Nad wioską snuł się zapach kawy i ciastek.

Ksiądz wychynął z drzwi, spojrzął w górę i kiwnął głową na chłopca. Ten zeskoczył z dachu i pobiegł schodkową drogą do góry. — Zabierzcie wstążki od donny Lucindy.

Ksiądz pomacał stulę, była jeszcze wilgotna. Pewnie zaraz wyschnie, ocenił.

Dziad, który nocował przed domem Rosy, dotarł na górę, pod kościół. Jeszcze było tu pusto, nie licząc straganów rozstawionych przy wejściu na plac. Mężczyzna przetoczył się wolno przed kramami, zastanawiając się, czy wyprosi tapas, ale towar był jeszcze zawinięty w płótno, a właściciele wyklócali się o lepsze miejsca. Dziad odszedł na drugi koniec placu, gdzie stała betonowa ławeczka z ukruszonymi rantami. Tu rozłożył swoje manatki, rozpiął koszulę i począł się wietrzyć, wystawiając ciało na nikłą, idącą od morza, bryzę. Spojrzął w górę na czworoboczną wieżę kościoła z wyciętymi lukami okien, przez które było widać nieruchomy dzwon.

W południe jej cień przesunie się tak, że zajmie jedynie niewielką część placu.

Starowinka w czerwonym swetrze przystanęła na drodze do kościoła, przytrzymała się drewnianej balustrady, odgradzającej drogę od przepaści. Spojrzała na morze, które zabrało jej męża i syna oraz pokarało zięciem. Splunęła, zaklęła, potem przeżegnała się szybko i lękliwie. Do chodaka wpadł jej kamyk, który uwierał w piętę, choć była prawie zdrewniała. Staruszka poruszyła butem, próbując wytrząsnąć kamyk. Chodak zawisł na czubkach palców, a potem spadł z nogi, osuwając się kawałek ze skarpy. Kobieta wymamrotała coś pod nosem, z trudem przykucnęła i na czworakach podpełzła do brzegu drogi.

— Święci pańscy, stara Quesada już nie wie, gdzie góra, gdzie dół...

Ktoś się roześmiał.

— Pani Quesada, pomogę pani. Co pani robi, kościół jest tam.
— *Vete a la mierda*, buta zgubiłam — odparła stara i ruchem ramienia strąciła z barku czyjąś rękę.

— Dobra, chodźmy — ponaglił ktoś inny.

Staruszka dosięgnęła buta i uniosła się z klęczek, patrząc ponuro za grupą roześmianej młodzieży.

Ksiądz włożył komżę i stułę; fioletowe nitki winogron skurczyły się i zamieniły stułę w wykręcony wiór. Chłopcy już przyszli, czekali z naręczem kolorowych wstążek przed domem. Najmłodszy trzymał pęk ufarbowanych piór. Kapłan zamknął drzwi swojego domu i ruszył schodkami w górę, a chłopcy gęsiego za nim. Wyszli na asfalt, potem drogą na wzgórze; nie było daleko.

Upał wznosił się coraz wyżej. Kozioł nie spuszczał wzroku z Marianny; Rosa usłyszała, że ktoś wspina się po zboczu i dała jej znać, że ktoś idzie.

Najpierw pojawił się ksiądz, za nim czterech chłopców. Największy i najstarszy z nich rozejrzał się szybko i dopadł kozła, przygniótł go ciałem, pozostali skrępowali mu nogi.

— Już! — zawołała Marianna. — Nic mi nie zrobił, hej, nie róbcie mu krzywdy, to jego terytorium. Hej, zostawcie! — krzyknęła, zdenerwowana.

Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Ksiądz coś do niej powiedział, ale nie rozumiała. Rosa wdała się z nim w rozmowę w niezrozumiałym, prędkim, sepleniącym narzeczu.

Chłopcy podnieśli próbującego się wyrwać kozła i zaczęli schodzić ze wzgórza.

— Gdzie oni go zabierają? — Marianna rozłożyła ręce, patrząc na kochankę.

— Zostaw — powiedziała Rosa.

W połowie zbocza, na gałęziach suchego, niewysokiego drzewa stały kozy i patrzyły, odwracając głowy za procesją.

Na placu przed kościołem zebrał się tłum. Ludzie tłoczyli się przy drewnianych barierkach, starając się ukryć w cie-

niu rzadkich drzew oliwnych i kilku cyprysów. Pod bramą kościoła pogrywała orkiestra, z kramów sprzedawano tapasy, arbuzy i lemoniadę. Większe i mniejsze dzieci biegały po placu, piszcząc i przewracając się – a wtedy śmiech zamieniał się w pełen pretensji płacz.

Pani Quesada usiadła przy dziadzie na zepsutej ławeczce i wsparła brodę na znalezionym nieopodal kiju.

— Mama pójdzie tam ze mną, wzięliśmy mamie krzeselko — zwrócił się do niej zięć i wskazał na grupę ludzi składającą się z kilkorga kobiet i mężczyzn oraz licznych dzieci.

— Nie trzeba — odparła staruszka. — Zawsze patrzyłam stąd, tu mi dobrze.

Mężczyzna odszedł, machając ręką. Dziad wyjął wyproszony kawałek ciasta i podsunął go staruszce pod nos. Spojrzała ukosem i poprawiła się na ławeczce, odwracając się tyłem do mężczyzny.

Nagle dało się słyszeć ożywienie tłumu, idące falą od wejścia na teren kościoła, aż do końca bariery otaczającej wzgórze i wieżę. Tłum rozstał się i na plac wkroczył ksiądz z kropidłem w ręce, a za nim czterech chłopców niosących kozła, który nie przestawał beczeć niskim tonem.

Kozioł miał przywiązane do rogów kolorowe wstążki, falujące przy każdym ruchu. Do końca krótkiego ogona był przy-mocowany pęk różnobarwnych piór. Najmłodszy z chłopców z każdym kolejnym krokiem przydeptywał niesymetrycznie związaną żółtą wstążkę, której koniec włókł się po ziemi.

— Bądź pozdrowiony Boże, Panie i Stwórco, ty Jezusie Chrystusie, któryś nas umiłował, oddał za nas życie i matka twoja Maria, niepokalanie poczęta.

— Amen — odpowiedział chór głosów.

Kozioł spoczął na ziemi.

Marianna i Rosa przecisnęły się przez tłum do pierwszego rzędu.

Ksiądz modlił się dalej, stuła sztywno odstawała od komży, a zmęczony kozioł ucichł.

Niedługą chwilę po chóralnych modlitwach, na znak dany przez księdza, chłopcy unieśli kozła. Kapłan śpiewając, wszedł na stopnie kościoła i zniknął w jego czeluści, chłopcy z kozłem wstąpili za nim. Przez moment było cicho, ale wkrótce śpiew rozległ się znowu, odbijany echem w kamiennych murach. Gdy procesja ukazała się na szczycie wieży, przez tłum przeszedł szmer. Potem zapadła cisza.

Z okna wieży furknęła żółta wstążka, porwana wiatrem, odleciała nad morze.

Wydawało się jeszcze, że u góry na wieży nastąpiło jakieś nieporozumienie, szarpanina, że trwa sprzeczka lub być może rozlegnie się śpiew, ale oto w oknie ukazał się kozioł wzniesiony na wielu rękach, które zachwiały się z wysiłku, a potem pchnęły zwierzę. Kozioł zawisł na chwilę w powietrzu jak czarny obłok na białym niebie, zatrzepotał, wywijając w powietrzu, a potem runął ciężko na plac, pękając z płaszczykiem niczym dojrzały arbuż.

Rosa obudziła Mariannę i powiedziała:

— Idą.

Marianna wyszła przed dom. Dziad już nie spał, żuł jedzenie pod ścianą; po schodkach, drogą w górę szły kozy, jedna za drugą, biorąc schludne zakręty, przystając na półpiętrach i oglądając się na siebie jak troskliwe damy. Gdy zniknęły, Marianna zeszała na drogę i ruszyła w dół rozpadliną.

Wróciła z czaszką pod pachą. Na nieme pytanie Rosy wzruszyła ramionami.

